

Fragment relacji świadka historii



ADAM BULEK

ur. 1954, Wierzchosławice



Zakres terytorialny i czasowy	Wierzchosławice, lata 60. XX w.
--------------------------------------	---------------------------------

Praca dzieci w rodzinnym gospodarstwie rolnym

Nie było tak jak teraz, że przychodziło się ze szkoły i odrabiało się lekcje. Tylko przychodziło się ze szkoły, latem brało się haczkę czy grabie, widły i szło się pracować do wieczora. Wieczorem trzeba się było umyć, odrobić lekcje i rano do szkoły. Na przykład u nas w Wierzchosławicach tak było, że drzwi były zamykane na sztangę. Do dziewiątej ojciec jeszcze czekał. Po dziewiątej zamykał drzwi na sztangę i nawet nie wpuścił dziecka do domu, chyba że bardzo płakało. Kiedyś w pierwsze dni września albo ostatnie dni przed zakończeniem roku szkolnego myśmy się z kolegami, z koleżankami rozbawili. Był ciepłutki słoneczny wieczór. Wróciłem bardzo późno. Dobijałem się do drzwi. Zamknięte. Z drugiej strony zamknięte. Poszedłem spać na siano. Ale o piątej rano coś mnie zrzuciło. Kiedyś, jak się siano rzucało widłami, to jeden drugiemu podawał, żeby układać jak najwyżej, do samego dachu stodoły. I tak *łup, łup, łup*, spadłem na dół. Byłem zdziwiony, a ojciec mówi: *Tobie się spać nie chce? To już z krowami!* O piątej rano szedłem z krowami na pegeerowskie drogi. Dwie krowy przed sobą, a dwie za sobą. A krowy były tak nauczane, że one zboża nie skubnęły tylko te trawy przy zbożach. Trzeba było iść na „swoje” drogi, żeby nie wejść, gdzie sąsiad wypasał. I tak do siódmej się pasło krowy. O siódmej trzeba było przywiązać je przy płocie, lecieć szybciotko się umyć, coś zjeść i do szkoły. Następnego dnia, jak były buraki czy ziemniaki, nikt się nie litował. Wszystkie dzieci pracowały. Gdy było dużo dzieci, to starsze szły do pracy, a najmłodsze zostawały w domu. Ale u nas wszyscy szli do pracy. Mieliśmy pięć hektarów pola i to wszystko obrabialiśmy rękami. Kiedyś nawet osty się wycinało ręcznie. Był taki długi patyk z blaszką, na końcu ząbek wycięty i tym wycinało się rzędkami osty. Kilka osób, cała rodzina to robiła. I na przykład jak były trzy hektary, to trzeba było po kilka razy przejść tam z powrotem, aż się wypłeniło. I sprawdzało się, czy przytulia roślinie czy nie roślinie, żeby na darmo nie dawać oprysków. A dzisiaj się pryska, czy jest, czy nie ma. Jest oprysk, który działa na wszystko i nie ma kłopotu z chwastami. A kiedyś wszystko ręcznie się robiło. Przytulię, jak już była gniazdami, to się ręcznie wyciągało. Ciężkie były czasy. Chociaż człowiek nie zdawał sobie sprawy, że jest tak ciężko. Pamiętam, woziliśmy siano w czerwcu końmi i wozem sąsiada. Przyjechaliśmy z sianem. A w pobliskim strumyku, na którym była tama, kąpały się latem wszystkie dzieci. Zwaliliśmy to siano i pomyślałem: *Pobiegnę szybciotko, chociaż się zamoczę w tej w tej rzece*. Woda była czysta jeszcze wtedy. Parę minut się kąpałem i słyszę: *Adam, idziesz czy nie!* Patrzę, już konie wyjechały z podwórka, są na drodze, a ojciec krzyczy na mnie. No to ja lecę i mówię: *Tato, ja tylko idę coś zjeść*. Tato zeskoczył z wozu. Był taki sznur, którym się wiązało drąg, żeby siano nie spadało. Dostałem po plecach parę razy tym sznurem. Siadłem i płakałem pół drogi, ale jechałem na pole. Jak wróciliśmy z następnym wozem siana, konie dostały wody i coś jeść, a ja już nie chciałem się kąpać. Poszedłem najpierw coś zjeść. Takie były przykłady nieraz. Ze szkoły troszkę później się przyszło, bo po drodze gdzieś piłkę się pokopało, a czas szybko uciekał. Podchodzę pod dom, a krowy już na drodze uwiązane przy płocie. Już ojciec się denerwuje. Tylko teczka za płot do ogródka rzuciłem, za krowy i poszedłem w pole, żeby szybko krowę napaść. Jak przyszedłem do domu, to dopiero poszedłem do ogródka teczka wyciągnąć. Przy świeczce lekcje pisałem. Szkołę ledwo, ale się skończyło. Jeśli przychodziła niedziela, to każde dziecko dostawało pięć złotych. Było takie duże pięć złotych z rybakiem, jak zarzuca sieć. Lody były po złotówce, a od naszego domu do Bolkowa to było pięć i pół kilometra. Jak się miało te pięć złotych, to biegiem przez pięć kilometrów, żeby wejść do miasta i kupić sobie loda albo dwa. To człowiek nie wyszedł

z miasta, dopóki ostatniej złotówki na lody nie stracił. Jedna gałka to był jeden złoty. To się po jednej gałce kupowało, żeby jak najdłużej ta przyjemność trwała. Straciło się pięć złotych, szło się do domu. Dzisiaj dają dzieciom na zabawę pięćset, sześćset złotych. Nie dałbym tyle.

Data i miejsce nagrania	4 sierpnia 2021, Piława Dolna
Rozmawiał/a	Aneta Pudło-Kuriata
Redakcja	Jadwiga Horanin
Prawa	Forum Dialogu Między Kulturami